Nr. 3. We Lwowie dnia 20. stycznia 1901. Rok 9.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Na posterunku.

Aczkolwiek emigracja polska do Brazylji datuje się od 1869 roku, mimo to do ostatnich czasów było o niej zupełnie głucho; wyrażenia: Parana, kolonizacja polska w Paranie, bodaj, czy były więcej konkretnemi pojęciami, jak ów przysłowiony „wilk żelazny“ z bajki ludowej. Dopiero gorączka emigracyjna z Królestwa w 1891 r. i w Galicji w 1895 r., zmusiła opinję publiczną do zainteresowania się dolą sporej garstki naszego ludu, w pocie czoła pracującego na znojnej ziemi brazylijskiej.

Hiobowe wieści, dochodzące z za oceanu, o żółtej febrze, dziesiątkującej emigrantów, o strasznej pracy na plantacjach kawy wśród zabójczych warunków podzwrotnikowego klimatu, zelektryzowały całe społeczeństwo. Zawrzało jak w ulu. Prasa podniosła alarm. Na gwałt starano się sprawdzić te wiadomości. Wysłano specjalne delegacje, by zbadać smutną odyseę naszego wychodźtwa. Po upływie pewnego czasu, gdy ten nastrój gorączkowy ustąpił chłodnej rozwadze, powstaje idea o konieczności nawiązania stałych, ścisłych stosunków z kolonistami polskimi w Brazylji. Świeżo zawiązane „Towarzystwo Handlowo-Geograficzne“ we Lwowie staje się wyrazem tej idei.

Dziś, kiedy wśród pewnych kół jest prawie modą ujemne krytykowanie działalności tego towarzystwa i potępianie go za zbyt wielki optymizm w przedstawieniu i ocenie stosunków parańskich, należy tu zaznaczyć, że, bądź co bądź, „Towarzystwo Handlowo-Geograficzne“ ma za sobą niespożyte zasługi już chociażby dlatego, że robiło i robi wszystko, co jest w jego mocy, by nawiązanie stosunków wzajemnych między macierzą i kolonizacją polską wyszło ze sfery mglistych marzeń i pobożnych westchnień. Gdyby nie T. H. G., większość krytyków nie wiedziałaby wiele więcej o Paranie, niż wie o księżycu. A jeżeli i grzeszy czasami zbytnim optymizmem, to bodaj, czy nie należy mu tego poczytywać raczej za zasługę, niż za błąd wobec tego, że wogóle jesteśmy zbyt wielkimi pesymistami.

T. H. G. po dokładnem zbadaniu przez swego specjalnego delegata dr. Stanisława Kłobukowskiego, trzech południowych stanów Brazylji, w których pobudzone nadzieją samoistnego rozwoju żywiołu polskiego szuka odpowiedniego człowieka, który poświęciłby się sprawie kolonizacji polskiej w Brazylji. Jednostkę taką znaleziono w osobie p. Józefa Okołowicza, który z entuzjazmem podjął się tej pracy. A praca ta bynajmniej do łatwych nie należy. Kto zna nasz lud, ten wie dobrze ile trudu, ile energji i poświęcenia trzeba, by zdobyć jego zaufanie. Ta kwestja, w oświetleniu stosunków parańskich, przedstawia stokrotnie więcej trudności. Aczkolwiek jesteśmy tego zdania, że już sam fakt wspólnego pobytu Polaków na obczyźnie zmusza ich do pewnej spójni wobec obcych, częstokroć wrogich elementów, mimo to na podstawie własnego doświadczenia twierdzimy, że ta dodatnia strona jest więcej niż zrównoważoną przez inne ujemne czynniki. Kolonje polskie w Paranie są rozrzucone na olbrzymich przestrzeniach, komunikacja między niemi jest najzupełniej pierwotna: wąska ścieżyna, bardzo często wijąca się wśród górskiej okolicy — oto przeważający typ dróg brazylijskich; podczas pory deszczów drogi te są absolutnie niemożliwe do użytku. Widzimy więc, że rozwojowi kolonizacji polskiej brak jednego z najważniejszych czynników cywilizacji nowożytnej — dobrych środków komunikacji. A i w samych kolonjach sprawa wzajemnego porozumiewania się nie wygląda świetnie. Tu w Europie trudno sobie wyobrazić, jakie fatalne rezultaty pociąga to za sobą.

Charakter naszego ludu nie uległ radykalnej zmianie wśród nowych warunków, chociaż różnica między kolonistą polskim w Paranie a wieśniakiem, pracującym na ojczystym zagonie, rzuca się w oczy każdemu. Zasadniczy rys

naszego narodowego charakteru — indywidualizm, przytłumiony u naszej ludności wiejskiej, dzięki niedoli materjalnej i niewoli politycznej, ze zdwojoną siłą odradza się u kolonistów polskich w Paranie, gdzie względny dobrobyt materjalny i absolutna niezależność polityczną stwarza nadzwyczaj podatny grunt do samoistnego rozwoju naszego ludu. Niestety, ten indywidualizm zbyt często przechodzi w krańcowość i staje się typowem polskiem warcholstwem, dobrze znanem z naszej historji. Zebrania, wiece kolonistów naszych przybierają często takie formy, że mimowoli opanowuje nas wrażenie, iż jesteśmy na sejmiku szlacheckim za dawnych czasów Rzeczypospolitej. A że temperamentu im nie brak, od słów przechodzą do czynów. Czasami mają miejsce zajścia, mocno podobne do zajazdów w miniaturze. Często, z bardzo błahych powodów, ludność polska danej miejscowości dzieli się na dwa wrogie sobie obozy, szkalujące się wzajemnie w prawdziwie amerykański sposób. Tak, np. w Kurytybie, stolicy Parany istnieją dwie wojujące partje; powstały one z powodu niezgody w kwestji wybrania odpowiedniego miejsca na budowę kościoła polskiego. Jedna partja chce mieć kościół na jednej ulicy, a druga na innej. Walka o to trwa już rok, zgody dotąd niema, a tem mniej świątyni, która rzeczywiście jest koniecznie potrzebną. Takich historji można przytoczyć całe dziesiątki.

Rolę „urodzonych prowodyrów“ wśród ludności polskiej, obok księży, odgrywają tak zwani z portugalska wendziarze, t. j. kupcy. Większość z nich zawdzięcza swój majątek szalbierstwom, które tylko w jednej Brazylji mogą mieć miejsce i uchodzić bezkarnie. Wendziarze, dzięki swej zamożności i specjalnym warunkom, w jakich znajduje się handel w całej Brazylji, a zwłaszcza w koloniach zbyt odległych od miast, wywierają bardzo wielki wpływ na kolonistów, mimo że ogół nie czuje do nich zbytniej sympatji. Każda wenda siłą faktów jest poniekąd pewnego rodzaju ogniskiem życia społecznego okolicznych kolonistów. Wendziarze są zarodkiem przyszłej burżuazji i inteligencji polskiej i jako tacy stanowią niewątpliwie bardzo dodatni czynnik w rozwoju kolonizacji. Większość z nich namiętnie oddaje się polityce brazylijskiej, gorliwie intrygując wśród ludności polskiej na rzecz rządowej lub opozycyjnej partji, nie mających nic wspólnego z interesami naszej kolonizacji. To politykowanie wendziarzy przynosi sprawie polskiej nieobliczone szkody. Szczególniej szkodliwymi z nich są ci, którzy przez kupowanie honorowych tytułów poruczników, kapitanów, majorów gwardji narodowej, podrażnieni w swej próżności, chcąc wyróżnić się od szarej masy kolonistów, pragną uchodzić za Brazyljan. Tacy zazwyczaj bardzo prędko wynaradawiają się i służą jako zaraźliwy przykład.

Inteligencja polska do osób Polonji nie należy. Większość jej składa się z jednostek, dla których pobyt w Europie był niemożliwym z różnych powodów, dość często kryminalnej natury. Od takich jednostek trudno oczekiwać dobrego. Niektórzy z nich posuwali się do tego, że radzili Brazyljanom, iż najlepszy argument dla polskiego kolonisty, to bat i więzienie. Wiele nadużyć, jakich Brazyljanie dopuszczają się względem naszych kolonistów, należy przypisać ich podszeptom.

(Dok. nast.) *Wł. Goździkowski.*

Wyborca.

Samorządowi na gwiazdkę.

— Pono Jagustyn wrócił z Limanowy?

— Dyć tak gadają.

— Pódźmy do niego, dowiemy się, jakiego ta wybrali tego posła...

— Dyć ta gwałtownych robót nima, możemy zajrzeć. Choć prawdę powiedziawszy, to mi ta wszystko jedno, niech bedzie kto chce.

— No, ale tak z ciekawości.

— Ha no, to pódźmy.

Jagustyn mieszkał niedaleko, na drugiem osiedlu. Błażej z Bartkiem, wchodzęcy, zastali już u niego sporo gazdów, którzy się naschodzili pod wieczór, aby coś usłyszeć.

— I jakże tam wypadło? — pytali ciekawie.

— E, psia krew! z takim samorządem... ani gadać nie warto.

Musieli go długo molestować, nim się dał uprosić. Widać było, że sam chce zabaczyć o tem jak naprędzej. Była w nim jakaś tępa złość, nie wiedzieć — na co i na kogo, jakaś zgorzkniałość trująca na wnętrzu, która go piekła, jak zgaga, gdy, uproszony, począł:

— To, widzicie, tak... Poschodzą się djabeł nie wie, skąd i jacy ludzie, i urządzają se licytacje, a ty myślisz, że to wybory...

— Powiedzcie... No i któż tam taki był?

— Kto chciał, to był, komu sie ino Wideń zabażył!... Był od Nowego Sącza jeden, co był naprzód chłopem, a potem z tego do tego, stał sie wreszcie panem. Tamci ludzie, co go znali, chwalili go dużo. I kto wie, czyby był nie przeszedł, kieby go był ino miał kto podeprzeć. Ale upadł.

— A niechta, nieduże zmartwienie...

— Był tam i jeden drukarz, ale my go nie widzieli, ino opowiadali insi, że to na nic jemu głosy dawać, bo go panowie nie dopuszczą na żadnego posła.

— Musiał im sie przeciwić...

— Ba, dyć powiadali, jak im prał w oczy, przy ludziach, bez żadnych ogródek.

— Temu go ta odcofnęli...

— Było potem dwóch chłopów ze samego miasta*). Ale tych znowu chłopi nie chcieli, bo byli za mądrzy I źli byli wielce na nich. „Bo jakoż to?“ — pada — „Ci by mieli wszystek rozum, a drudzy, to nic? Niech ta lepiej głupszy idzie, nie zdradzi tak łatwo“.

— No, dy słusznie powiadali. Co się jeden ma wywyższać rozumem swoim, kie drudzy...

— Był jakisi adukat, podobno z Krakowa, był jakisi danielok i djabeł wie jeszcze, dużo ich tam nie było, bo sie człek nie mógł dorachować, telo sie ich naszło. Jak przydzie chłopu pomódz, to ich nima, pokryją sie, powłażą do najgłębszych dziur. A jak przydzie wziąść od chłopa, to sie wszyscy najdą.

— Powyłażą, jak muchy z najdrobniejszych szpar.

— Hej, zlecą sie, jak mszyce i obsiądą człeka. Żebyś sto uszów miał, to ci ani jedno nie zbędzie. Bo cię wszyscy naraz kuszą i ze wszystkich stron. Nie porada sie nijak ognać. Ten powiada tak, ten tak, ten znowu inaczej. Choćbyś głowę miał, jak kadź — zgłupiejesz doznaku i nic nie wiesz, kto ci dobrze radzi. Bo każdy obiecuje, czego żywnie pragniesz, i wszyscy by cię przed wyborem w miodzie ukąpali. A skoro sie ino dasz przewieść na jedną stronę — oho! jużeś wpadł... Już ci drudzy w oczy pierą, żeś zaprzedał duszę. Telo powiem: Niech was Pan Bóg uchroni od tego, abyście kiedy mieli iść głosować. Człek sumienia nie pewny.

— La Boga, cóż to za czas nastał!

— Po kiego djabła człek ma iść, wybierać, kiedy oni sami wiedzą, kogo wybierają! Żebyście wy widzieli... Ale szkoda i widzieć. To wiecie tak, jak jarmark, ale co ja gadam! Na jarmarku obierzesz i zmówisz i kupisz. I nikt ci nie zastępuje, chyba, jak sie cofniesz. A tam wszyscy handlują...

— Sumieniem i skórą...

— Dy nie czem inszem! skóra chłopska na licytacji. Ani sie nie obejrzysz, jak ci ją przedadzą.

— I litkup na dopłatek...

— Myślicie, że nie? Chciałbych mieć telo owiec, kielo tam ostrzygli.

— Czy już tak naród podupadł, czy co?

— To, wiecie, tak: Człek nima oświaty za grajcar. Zlecą sie zewsząd i obsiędą, ani sie obrócić samowolnie, kanybyś chciał. I rozum ci sie zaćmi. Ksiądz doradza tak, juści trza mu wierzyć, bo jakże, przecie piastun boży. Kto inszy znowu inaczej powiada, widzi ci sie, że dobrze, i poszedłbyś za nim, ale kto wie, czy śmiało możesz mu zaufać?.. Starosta nakazuje, trza go znowu słuchać, a dziandary po boku, a panowie z góry — zbałamucą doznaku i sam nie wiesz, człeku, za kim idziesz i kany, na jaką złą stronę. Kto chce, to rządzi tobą, kto chce to ma władzę. Pomieszanie rozumów, jak przed końcem świata. A żeby cie ostawili przy twojem prawie, to nie, ino sie tak opiekują, jak małem dzieckiem. A nie chcesz słuchać, to cie gwałtem zmuszą.

— Ktoż taki, coby sie poważył?

— Kto taki... Dyć jest samorząd na to, coby samorządził. On porozdzielał prawa i zagarnął władzę. Nie spyta sie nikogo o nijaką wolę, ino robi swoim dumem, co mu sie podoba.

— Ej, bieda też to, bieda, jak nima oświaty...

— I jakiego-żeście tego posła nareszcie wybrali?

Jagustyn żachnął się na to pytanie. Widać, że chciał z umysłu ominąć tę sprawę, gadał wiele, a tłumił złość niewysączoną. Teraz, przyciśnięty, gniewem, goryczą wybuchnął.

— Ja go ta nie wybierał! Wybierali insi...

— Kogoż takiego?

— Adukata jakiegoś... z Krakowa...

— A jakże sie nazywa?

— Czy ja wiem! Kto ta kiedy słyszał jego miano... Dyć sie spytajcie inszych, co ta ze mną byli, czy go znał kto, czy widział kiedy jego gębę?

— I na coż mu dawali głosy?

— Na co!.. Bo musieli dawać i... psia krew! z takimi wyborami.

Pomilkli i, widząc, że go ino złoszczą, nie pytali już o nic. On jednak sam po chwili, wysapawszy się, zaczął:

— Ale my se poradzimy. I na drugi raz, jak padnie, to już nie bedziemy tacy głupi. Kie ten zły, ten niedobry, to żaden nie bedzie. Już my sie umówili w kilkunastu razem, że jak nadejdą wybory, to na cesarza bedziemy dawać głosy. Niech sie opiekuje nami, kiedy tak...

Z tryumfem spojrzał po obecnych gazdach, a ci siedzieli na ławach w milczeniu, dumając długo nad słowami jego. Najstarszy z nich po chwili odezwał się zcicha:

— Możeby to i nieźle było... Co myślicie Błażeju?

— Mnie ta wszystko jedno.

W roku jubileuszów. *F. Smreczyński.*

*) Miasto, rozumie się Nowy Targ. Jak w starożytności *urbs* — rozumiało się Rzym.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XVIII.*)

Z jakąż zazdrością myślała teraz Hanka o Dorli, której mąż był już w domu! Słuchając przedtem żałośnych zwierzeń przyjaciółki, współczuła z nią całem sercem. A teraz oto niespodzianie ją samą miał spotkać podobny los: Kozina wybierał się w drogę... — O te sądy, te nieszczęsne sądy!...

Już się przysposabia do podróży, już wydaje ostatnie zlecenia i rozporządzenia gospodarskie... A ta jego matka patrzy na to wszystko okiem tak spokojnem, jak gdyby chodziło o zwykłą wycieczkę na jarmark, lub na odpust. Ba, raduje się nawet w sercu, powiada, że to wielki zaszczyt dla całej rodziny, że Jan wróci za dni kilka, za tydzień, za dwa i że to będzie ostatnia jego podróż...

Ostatnia podróż! O dałby to wielki Bóg na niebie!

Iskra prawdę powiadał w on wieczór: w ślad za nim przyszło drogą urzędową, przez Pilzno, zawiadomienie z Wiednia, że sprawę Chodów oddano sądowi apelacyjnemu. Zawiadomieniu towarzyszył nakaz, aby Chodowie przysłali do Pragi— prócz wybranej już deputacji — siedmiu roztropnych i poważanych ludzi, jako mężów zaufania, dla ostatecznego rozstrzygnięcia sporu.

— Czemu, o czemu wybrano w ich liczbie i Jana! — rozpaczała w duchu Hanka — a on czemu się zgodził na ów wybór!

Zgodził się nawet bardzo chętnie. Do Wiednia nie chciał jechać, ale do Pragi rad się wybierał, bo hań rozumieją „naską gwarę“, więc można się bronić, można śmiało żądać sprawiedliwości. Przez cały też czas był wesół, dobrej nadzieji i pogodny na duchu. W przeddzień jeno odjazdu ogarnął go jakiś dziwny niepokój. Z rana zajrzał raz jeszcze do stryka Drażenowskiego, przyszłego współtowarzysza podróży, — popołudnie spędził w domu. Hanka krzątała się po izbie, strojąc mu wszystko do drogi, smutna, zamilkła, przygnębiona. Robota nie sporzyła się jej w ręku, młoda gosposia wpadała od czasu do czasu w posępną zadumę, zapominając, co się z nią dzieje, co robi, co jej przynieść ma dzień jutrzejszy... Na odwieczerz Kozina wpadł do Syki i razem z nim wybrał się do Macieja Przybka.

Zastali gospodarza przy jedzeniu, za onym stołem z samorodnego pnia lipowego. Goście przysiedli obok na stołkach, a rozważny Syka począł mówić o czekającej ich podróży do Pragi, wyrażając nadzieję, że sprawa teraz pomyślny obrót weźmie.

— Powiadaliście przecie, że i z Wiednia przyjdzie dla nas zratowanie — przerwał ironicznie Maciej.

— A no i w Wiedniu możeby padło inaczej, kieby nie te bójki, nie te maszkary — westchnął Kozina.

— Tak? — podchwycił Przybek. — No teraz usłuchnęliśmy waszej rady, siedzieliśmy, jako myszy pod miotłą. Ani szastu-prastu... Uwidzimy...

— Dyć temu przychodzimy, aby prosić o spokój i nadal... Miejcież cierpliwość... — Poczkajcie — mówił Kozina. — Macieju, przyobiecaj!...

— Z taką sprawą przychodzicie? No dobrze już, dobrze! Nie ruszę się, byle i mnie ostawili w spokoju. Będziemy widzieli, co wy hań zrobicie. Ale pamiętajcie, kie panowie poczną, bić się nie dam! W przeciwnym razie będzie, jakem powiedział: poczkamy, aże wrócicie. Obiecuję — i podał rękę obu, po kolei.

— Maciej słowa dotrzyma — radował się Kozina, opuszczając wraz z Syką chałupę Przybków. — Możemy być o to spokojni!

Ostatni wieczór upłynął Janowi w kółku rodzinnem. Rozmawiał z żoną, bawił się z dziećmi. Potem stara matka przyłączyła się do nich... Gdy odeszła, a dzieci posnęły, młodzi małżonkowie siedzieli jeszcze sami przez dłuższy czas przy stole. Księżyc jeno był świadkiem szczerej ich rozmowy i słał ku nim drżące światło przeczystych promieni.

Hanka długo nie mogła potem usnąć, modląc się ustami i w sercu. Przebudzenie nie było już tak słodkie. Skoro tylko podniosła powieki, przypomniała sobie wnet, że Jan dziś odjedzie... I czemuż ta myśl ostrym bólem przeszyła jej pierś? Wszak obiecywał wrócić za tydzień, za dwa — wszak nic złego spotkać go w drodze nie mogło. — Gdy wstała, jego nie było już w chałupie. Oglądał bydełko, zatrzymał się najdłużej przy koniach, zajrzał do budynków gospodarskich, a potem wybiegł za obejście, do sadu.

Był wczesny czerwcowy ranek. Za górami młody dzień wstawał z różowych poduszek.

Trawa i kwiaty perliły się rosą, w rzeźwem powietrzu dzwoniły głosy ptaszą. Młody gazda powiódł okiem po górach rodzinnych. W lewo na Dębowej górce, zapalały się w promieniach jutrzenki szczyty gaju dębowego, — wprost niebieszczył się bezbrzeżny las Dmout*), — nieco bliżej Zielenów, przed nim Hawłowice, u samego lasu Hamry, — z poza Dmoutu wychylał się rąbkiem sinawym podłużny grzbiet Osieku, a dookoła,

*) „Tydzień“ drukował w roku zeszłym pierwszą część tej znakomitej powieści, która w Czechach doczekała się właśnie szóstego wydania — w przepysznem in-folio, z licznemi ilustracjami. *(Przyp. Red.)*

*) Dziś nazywa się on Ermaut. Nazwa Dmout starsza i właściwsza. (Przyp. Autora).

jak wzrok sięgał, wzgórza, góry i szczyty, otulone płaszczem lasów wspaniałych, niegdyś dziedzictwa Chodów.

Oczy młodego górala ślizgały się po tym świecie dziwnych kształtów i barw, aż spoczęły na łanie falującego zboża tuż za chałupą i wtedy z męskiej jego piersi wyrwało się ciężkie westchnienie. Gdy poważny i zamyślony wrócił do izby i zastał w niej starą matkę, a zbudzone dzieci powitały go szczebiotem, uczuł poraz pierwszy żywy ból rozstania. Zapomniał na chwilę o świętej walce, o wysokim celu, dla którego opuszczał dom, rodzinę — całe serce jego było przy dzieciach. Upominał Pawełka, aby był grzeczny i słuchał mamy, gładził pieszczotliwie złotowłosą główkę Hanulki, odpowiadał z uśmiechem na pytania ich naiwne o podróży i Pradze, o której nasłuchały się tak wiele w ostatnich dniach.

C. d. n.

Ognie Świętojańskie.

(Nowy dramat Sudermanna).

Raz do roku, kiedy cała natura przyobleka się w wspaniałą szatę nowego życia — w noc świętojańską potęgi pogaństwa budzą się z długiego snu, wychodzą ze swych kryjówek i przy świetle sobótek w zawrotnym tańcu śpiewają hymny tryumfalne na cześć niezmożonej siły natury. Światła te padają także w nasze dusze —a wówczas wszystkie pragnienia niezaspokojone i uczucia uśpione budzą się na dnie świadomości, zrywają pęty i wybuchają z szaloną siłą, by raz jeszcze odetchnąć straconą wolnością...

Noc ta — to tryumf pogaństwa nad chrześcijaństwem.

Ale noc mija.

Ognie świętojańskie już pogasły i nic po sobie nie pozostawiły — tylko zgliszcze.

W duszach naszych zapanował znów spokój, popędy pogańskie znów ucichły, ukołysane do długiego snu.

Takie dusze właśnie, wybuchające z pierwotną siłą w noc świętojańską, a gasnące razem z sobótkami—przedstawił nam Sudermann w ostatnim swym dramacie.

* * *

Rzecz dzieje się w Prusiech Wschodnich, na Litwie, w domu Vogelreutera. Za cztery dni ma się odbyć ślub córki Vogelreutera, Trudy, z Georgiem. Wszyscy się więc w domu krzątają, najbardziej Marikka, znajda, przybrana córka domu. Ale na twarzy wesołej zawsze Marikki dziś jakiś niezwykły smutek się maluje. Co się jej stało? Czy się przepracowała? Czy słaba?... Marikka na wszystkie czułe pytania odpowiada wymijająco. Jednemu tylko się zwierza — temu, który jej sercu jest najbliższym, Georgowi. Oto ubiegłej nocy, wracając sama do domu, została napadnięta po drodze przez jakąś starą żebraczkę litewską — a w tej żebraczce poznała swą matkę... Daremnie ukrywali przed nią przybrani rodzice jej pochodzenie: dziś budzi się w głębi jej duszy świadomość osamotnienia; wszelka tkliwość rodziców przybranych nie zdołała zagłuszyć w niej instynktów dziecięcych. Ale w te uczucia Marikka nikogo nie wtajemnicza — wie o nich tylko Georg. Bo też w całym domie jedynie Georg i Marikka rozumieją się nawzajem. Dziwny los wspólny zbliżył ich oboje do siebie, zbliżył ich dusze pokrewne.

Oboje są „Notstandskinder“ — jak się w oryginale pięknie nazywają. W roku nieurodzaju, podczas powszechnie panującego głodu, znaleźli Vogelreuterowie na drodze starą Weszkalnenę, która rzuciła się pod wóz i z dzieckiem u piersi chciała się dać koniom przejechać. Vogelreuterowie, którzy wówczas byli jeszcze bezdzietnymi, odkupili żebraczce litewskiej Marikkę i wychowali ją troskliwie. Ale matkę zaraz wypędzili, ponieważ kradła — a kiedy w kilka lat później znów się zjawiła, przydybali ją przy kradzieży i oddali w ręce żandarmerji. Vogelreuterowie mieli więc spokój, a przed Marikką taili jej pochodzenie. Ale nagle na tym ciasnym horyzoncie wypłynęła znów stara Litwinka, niby upiór jakiś, niby zapowiedź tego, co ma nastąpić...

A i Georg nie zaznał dotąd szczęścia w życiu. W młodym wieku odumarł go ojciec, pozostawiając swemu szwagrowi długi honorowe do zapłacenia. Vogelreuter spłaca je, zabiera do swego domu osieroconego siostrzeńca i wychowuje Georga. Odtąd Georg należy do rodziny Vogelreutera, a za cztery dni ma poprowadzić do ołtarza córkę jego, Trudę. Czy się z nią z miłości żeni? Nie. Georg w głębi duszy kocha Marikkę. Przed czterema laty starał się o nią, szalał za nią. Ale Marikka nie wierzyła w prawdę słów jego i zimno go odprawiła. Odprawiony, zawiedziony w swych nadziejach, prosił wreszcie o rękę Trudy, która go kocha swem naiwnem uczuciem, dla której Georg jest wszystkiem na świecie. Przed kilkoma dniami jednak Marikka znalazła przypadkiem brulion jego z przed czterech lat,

zapełniony wierszami, jej poświęconymi. I teraz dopiero, z poezji tych, przekonuje się o prawdziwości tego, czemu w prozie życia codziennego wiary dać nie chciała. Teraz wie Marikka, że serce Georga do niej należy—do niej wyłącznie.

Więc też teraz, kiedy dziwne uczucia w niej się budzą i duszę jej szarpią, zwraca się do niego. Prosi go, by bez wiedzy rodziców sprowadził ową starą Litwinkę do mieszkania. Poprzedniej nocy uciekała przed matką własną — uciekała, bo się jej bała. Ale dziś pragnie ją zobaczyć. Raz w życiu chce poczuć, co to matka, chce głowę swą położyć na jej piersi, wypłakać się przed nią i dać się pogłaskać — od matki! Uczucie to jest jej obce, nie zaznała go dotąd nigdy w życiu... Georg wzbrania się. Ale kiedy Marikka zaklina go na dawną miłość, ulega jej prośbom.

Marikka wyprawiła wszystkich z mieszkania: zostaje sama w pokoju i z zapartym oddechem wyczekuje matki. Georg ją sprowadza. Stara Weszkalnena słyszała, że Vogelreuter wyprawia wesele. To pewnie jej córka wychodzi za mąż... Więc ją prosi, by ją wódką poczęstowała. Ale podczas gdy Marikka odwraca się do szafy, stara kradnie we fartuch, co tylko jej wpada pod rękę. Marikka to spostrzega. Wciska jej pieniądz w rękę i odprawia ją... Ból ściska jej serce. Więc jej matka zwyczajną złodziejką?... Więc ona nikogo już nie ma na świecie!... Samotna!... Ale jest Georg: do niego się tuli. Nagle jednak wyrywa mu się z ramion i wybucha z krzykiem: „Odejdź! Błagam Cię, Jerzy, odejdź! Jeśli mną nie gardzisz, to odejdź!“ W spazmatycznym płaczu dusi swój ból...

Dusze ich jeszcze się nie znalazły.

Następnej nocy zapalają na okolicznych pagórkach sobótki.

W pokoju: Georg i Marikka... Noc cicha, milcząca. Blade światło księżyca owija w srebrne sieci pajęcze świat, cichy wietrzyk dreszczem miłosnym przejmuje całą naturę i szumi po liściach i gałęziach... W taką noc czarowną dusze tułacze obojga dzieci nieszczęścia wybuchają płomieniem namiętności, jak owe ognie świętojańskie, płoną i łączą się w gorącym, szalonym uścisku.

Noc świętojańska daje im to, czego im całe życie dotąd nie dało: jedną chwilę szczęścia!

GEORG: Marikko, moja kochana — ty moja! (Całuje ją).

MARIKKA: Tak, jeszcze raz! Widzisz, jaka ja... U mnie niema nic do stracenia. Mnie wolno wszystko, co tylko zechcę... Dziś noc świętojańska.

GEORG: Ognie już pogasły.

MARIKKA: Nie, niechaj płoną, niechaj płoną!

GEORG: Tak, niechaj płoną! Po tysiąckroć, tak, tak, tak...

MARIKKA: Nie, ty mnie nie całuj! Ja cię będę całować. Ja odpowiadam za wszystko. Matka moja kradnie. I j a kradnę!... Mój George!“

Kurtyna zapada.

. . . . .

Ale ognie pogasły, noc świętojańska minęła. Cóż poczną teraz?

Spodziewalibyśmy się tylko jednego wyjścia: Gorący ogień namiętności pochłonie oboje — z płonącym statkiem swego życia popłyną w noc, w ciemną, nieskończoną noc, której świt nigdy nie rozwidni, a z gorejących masztów zabrzmi jeszcze ostatni okrzyk szczęścia — zwycięski hymn miłości, wszystkie pęty łamiącej...

Tymczasem dramat inaczej się kończy.

Noc świętojańska pozostawiła tylko zgliszcze...

Ostatni akt dzieje się na godzinę przed ślubem Georga z Trudą. Georg chce jeszcze w ostatniej chwili wszystko zerwać. Ale Marikka sprzeciwia się... Byłby to szalony krok! Wszak oboje tyle są winni Vogelreuterom, a teraz mieliby się w ten sposób odwdzięczyć ich domowi? Życie ich dalsze byłoby jednem pasmem wyrzutów...

W życiu szczęścia dwa razy zaznać nie możemy. Szczęśliwy, kto go raz zaznał!

A Georg i Marikka zaznali szczęścia—w nocy świętojańskiej.

Więc Marikka pójdzie w świat, rzuci się na bruk berliński, a Georga już oto wołają, by podał ramię swej narzeczonej, bo już czas do ślubu.

* * *

Czy dramat skończony?

Nie. To dopiero początek tragedji — okropnej tragedji życia, pełnej walk wewnętrznych i wiecznej szarpaniny...

Z jednej strony tragedja człowieka, uginającego kark pod jarzmo obowiązków, z drugiej strony tragedja kobiety, która szczęście ma już po za sobą, a przed sobą — kto wie co?...

Ale Sudermann tej tragedji dotąd nam nie dał.

Gdyby Ibsen miał dramat ten napisać, zacząłby go z pewnością tam, gdzie Sudermann kończy, albo może trochę później: w jakiś czas po ślubie Georga z Trudą. Cały dramat Sudermanna należałby do przeszłości, stanowiłby niejako „Vorgeschichte“ właściwej sztuki i Ibsen dałby nam tragiczną warjantę do owych, w żarcie wypowiedzianych słów Nory w scenie z doktorem Rankiem: „Widzisz pan, doktorze, tak się zwyczajnie dzieje: jednego k o c h a m y, a za drugiego w y c h o d z i m y...“

Ale zostańmy lepiej przy Sudermannie i cieszmy się tem, co nam poeta dał. A poeta rozwinął w swym dramacie niezwykłą siłę i wlał weń tyle piękna, tyle prawdziwej poezji, ile w żadnej sztuce poprzedniej Sudermanna nie znajdujemy.

Podziwiać musimy świetną kompozycję, zręczność w zmienianiu nastrojów, niezwykle plastyczne oddanie pojedyńczych figur — a przedewszystkiem koloryt krajobrazu i wspaniale naszkicowany kontrast rasowy: z jednej strony uciskana, gnębiona, ale właśnie dlatego z żywiołową siłą wybuchająca dusza litewska, z drugiej zaś mniej złożona, bardziej flegmatyczna i bierna natura germańska. Dał nam poeta różnorodne skale uczucia: od prostej, naiwnej, ale szczerej miłości „backfischa“ niemieckiego aż do

namiętności gorącej, w szale wszystko za sobą porywającej. A zarówno owe sceny, w których występuje niewinne dziecko Truda, jak i sceny Georga z Marikką, przesycone duszną, przygniatającą niemal atmosferą, udały się poecie przepysznie.

Na Sudermanie sprawdziły się słowa Piotra Altenberga: pierwszym warunkiem prawdziwego artysty jest — znać granice swej twórczości. Ale Sudermann chciał je przekroczyć. Pozazdrościł Hauptmannowi laurów za „Dzwon zatopiony“ i nie oceniwszy dostatecznie charakteru swej własnej poezji, dał się unieść szałowi romantycznemu — bo dla Sudermanna był to szał.

Ale Sudermann nie stracił równowagi. Wrócił na tę ziemię, z której dotąd tyle wspaniałych obrazów wydobył — a z kraju romantycznego zostawił sobie to, czego poprzednim utworom brakowało: lekką szatę poetycznego symbolizmu, w który przyoblekł ostatni swój dramat i który stanowi istotny i szczególny czar sztuki.

Ceniliśmy w Sudermanie dotąd niezwykłego technika dramatycznego, który w zręcznie wykonanych obrazach odtwarzał nam na scenie życie realne. Dziś autor „Honoru“ nie zadowalnia się więcej suchym realizmem: przekonał się, że prawdziwe dzieło sztuki musi się wznieść ponad codzienne życie, nawet wówczas, kiedy to życie stanowi właściwy motyw utworu — musi być przepojone owym trudnym do zdefinjowania pierwiastkiem, który zwyczajnie nazywamy poezją, musi być owionięte tchnieniem wieczności. W ostatniej swej sztuce Sudermann poraz pierwszy dowiódł że jest nietylko wyśmienitym znawcą sceny ale także poetą — dał nam dramat realistyczny z podkładem symbolicznym.

W tem zaś widzę doniosłe znaczenie dramatu o „Ogniach świętojańskich“ w rozwoju twórczości poetyckiej Sudermanna.

J. Fraenkel.

Z pism i książek.

Or-ot. Wybór poezji. Warszawa, 1900.

Zanim wykażę piękności, jakie się zawierają w poezjach Or-ota—miałbym wielką chęć osądzić jego talent redaktorski—w stosunku do własnych swoich utworów. Jednakże wiem, że najtrudniejszem może z zadań, jakie autor podejmuje, jest układ „Wyboru poezji“. Każdy wybór składa się z rzeczy pisanych różnemi czasy i w różnym nastroju; przyczem dla autora łączą się one z pamięcią jakichś wzruszeń, jakichś wrażeń, radości lub smutków, nadając tym utworom już to mniejszą, już większą dla niego cenę; do wyboru wciąga więc autor rzeczy niekoniecznie najdoskonalsze, ale te, do których jest najbardziej przywiązany; wynika stąd pewna nierównomierność faktury, tonu i artystyczności utworów i wogóle „Wybór“ odznacza się pewną niezupełnie konsekwentną dowolnością. Nadto, obok tej ogólnej wady „Wyboru“, mamy u Or-ota jeszcze jedną cechę, dla dziełka szkodliwą. A mianowicie: całość utworów Or-ota da się podzielić na dwie grupy, wyraźnie odrębne: do pierwszej należą cykle opisowo-historyczne; do drugiej czysta liryka. Autor jednak, zamiast podzielić książkę na te dwa działy, przemieszał jedne z drugiemi, tak, iż coraz się powtarzają już to grupy historyczne, już to liryczne. W ten sposób uwaga czytelnika jest rozerwaną, raz chyląc się w tę, raz w ową stronę.

A jednak można było tomik Or-ota zredagować w sposób bardzo ciekawy, a to z podwójnego punktu widzenia: wystawiając naprzód podwójną nutę jego poezji, t. j. historyczność objektywną i przedmiotowy liryzm, a powtóre uwidoczniając stopniowy rozwój talentu, jego kolejne przechodzenie od motywu do motywu i ciągłe poszerzanie się jego ducha.

Nierównomierność tonu i faktury różnych utworów Or-ota byłaby rzeczą bardzo *piquante* dla osób lubiących rozważać kształtowanie się i rozrastanie talentu, jak się kształtuje i rozrasta każde dzieło natury. W zbiorku mamy wyjątki z pierwszych tomów Or-ota, utwory bardzo młodzieńcze i bardzo wiosenne obok prac z najświeższej doby, w których widzimy dojrzałość formy, języka, kolorytu, motywów i wreszcie zwiększenie skali uczucia. Dla porównania weźmy np. dwie liryki, jedną bardzo młodocianą, drugą z ostatnich czasów:

„Gdy na skraj świata poniosą cię losy,
Gdy ja w przeciwnej będę błądził stronie,
Spójrz czasem, droga, w gwiaździste niebiosy,
I do modlitwy złóż swe białe dłonie.
I pomyśl wtedy, że jest gdzieś zakątek,
Kędy samotne pędzę dni tułacze,
I żyję w świecie wspomnień i pamiątek —
A gdy się ocknę, to po tobie płaczę“.
(Prośba z cyklu: „Bliskiej — dalekiej“).

A teraz odczytajmy wiersz z cyklu „Pamiętnik“; jest to przejście od akwareli do farb olejnych.

„Choćbyś za życia zrównał się z aniołem,
Przed samym sobą nigdy nie uciecczesz,
Nie zrobisz serca lodem, ni popiołem,
Ani ziemskiego szczęścia się wyrzeczesz.
. . . Szczęśliwość nasza jest — jak los — zawodna,
Nić taka złota — wlot się staje szarą:
Czara rozkoszy wyczerpana do dna —
Na zawsze będzie niedopitą czarą.
. . . Szczęście, za które spełnisz jadu czaszę
Czyni się w mgnieniu tylko szczęścia cieniem
I od kołyski całe życie nasze
Do samej trumny — wiecznem jest pragnieniem“.

Takie stopniowanie mocy i wyrazu znajdziemy u Or-ota w każdej sferze jego twórczości.

Zaczął on pisać i drukować bardzo młodo, jak Gabrjel d'Annunzio i długi czas nie wychodził z tej pierwszej fazy swego rozwoju. Wystąpił naprzód jako pieśniarz erotyczny, z lekkiem zabarwieniem sentymentalnem i pomimo dziecinnej formy swoich utworów, odrazu przemówił do serca słuchaczy. W istocie bowiem, śród poetów współczesnych, już to refleksyjnych, już zmysłowych, już ideowych — jest on może jedynym dziś przedstawicielem liryki czysto-uczuciowej, namiętnej bez analizy, pełnej łez i uśmiechu, liryki serdecznej. Ta serdeczność odzywa się na wszystkich kartach jego książki i stanowi jej szczególny zapach. Niema w nim retoryki i frazeologji; uczucie łagodne raczej niż tragiczne, choć miejscami jakiś demonizm budzi się w poecie.

Obok tej liryki osobistej, rozwijał drugą strunę swoją Or-ot w obrazach Starego Miasta — i długi czas uchodził za poetę Starego Miasta *par excellence*; dziś jednak taki tytuł byłby dla Or-ota niedostateczny; „typy z niedawnych lat“ — rozwinęły się z biegiem czasu na szerokie obrazy z dziejów mieszczaństwa (powieść o Zofce, o Barwinkach, o Dekercie i in.); zajrzał poeta do w. XVI., do okresu humanizmu (Żaki), zajrzał do wieku XVIII, na dwór króla Stasia i księcia Pepi. Wreszcie zjawił się Bonaparte. Stopniowo poeta coraz szersze ogarniał dziedziny historji; rosła jego erudycja, rozmiłowanie antykwarskie — i była obawa, że erudyta zabije poetę; ale dobry zmysł poetycki uratował go: muzykusy, żaki i rybałty przypomniały Or-otowi świat rymopisów odwiecznych, którzy się w nim dopomnieli o prawa poezji. I w samym tonie i nastroju widzimy również znaczne udoskonalenie. „Typy z niedawnych lat“ — to akwarelki dość jednostajne; jest to szereg staruszków: konsyliarz Barnaba, szewc Onufry, trzy stare panny, skrybent Roch Denar, ksiądz Kropidło, dzwonnik Dławiduda, stary aktor i inni mają pewne dość jednakowe ruchy, zachowanie się, koleje życia i bliskość grobu. O wiele rozmaiciej, wszechstronniej i co do formy wykwintniej przedstawia się cykl nowszy p. t. „Warszawa w rymach“. Oto np. Fara:

„Wiara gada w mem sercu w cichości kościoła —
Jak z dzieckiem gwarzy matka wieczorową dobą.
Ocknij się i wstań duchem! — każdy kamień woła —
Ocknij się i wstań duchem — owo bacz: Bóg z tobą!
Z łukowego sklepienia wionął duch przeszłości
I poruszył skrzydłami chorągwiane chwasty —
I drgnęły w sarkofagach butwiejące kości —
I jęknęły: O Marjo! marmurowe Piasty!
. . . Z kazalnicy, jak prorok, złotousty Skarga
Błyskawicą olśniewa i przeraża gromem:
Tedy mówię, dłoń Pana mojem sercem targa,
Bom jest — jako ów strażnik nad ginącym domem!
. . . A cudowny Pan Jezus, ów z kacerskiej dłoni,
W dalekiej Norymberdze przez Baryczkę wzięty,
Przypomniał dzień Golgoty — i dumając o niej —
Ciche z oczu przesmętnych ronić jął djamenty..“

„Imcipan Karwasz Bibliopola“ przypomina nieco dawny cykl typów, choć do starszych czasów się odnosi; co do formy można go postawić obok najlepszego wiersza tej kategorji pierwotnego cyklu, obok „Grajka“.

„Chrystus cudowny“, „Anioł pański“, „Prymarja“, „Patrycjuszka“ — są to utwory wielkich zalet formy i nastroju, jak niemniej i cykl „Wiersze różne“, gdzie znajdujemy bardzo piękne wzory poezji g r o t e s k o w e j, już to w postaci ballady (Romanca o złotowłosym paziu), już to w postaci fantazyjnych, rzewnie smutno wesołych poemacików (Trefniś w amorach, Zegar), już to liryk przedmiotowych, już wreszcie antykwarskich obrazów (Stara księga, Matrona). Raz jeszcze w tym szeregu powtarza się motyw religijny: „Pieśń o męce pańskiej“ — jeden z najpiękniejszych utworów Or-ota w tym duchu.

Z rzeczy historycznych mniej mi się podobają „Bonaparte“ — dość szablonowy i „Berezyna“ — stanowczo za długa, a która po skróceniu mogłaby czytelnikowi sprawić zadowolenie dobrze pomyślanym efektem końcowym:

„A on (Napoleon) siedzi ponury, jak noc! W jego łonie
Setne burze i setne szaleją agonie!
Milczy — i oto przed nim zwolna się wyłania
Skalisty ostrów... Wizja... On oczy zasłania,
Ale widzi... Z fal morza zwolna się wynurza
Święta Helena!...

Byłby to piękny sonet. Natomiast znawcy okresu Stanisławowskiego chwalą dokładny koloryt i charakterystykę zewnętrzną i wewnętrzną Łazienkowskiego momentu historji polskiej; malowidło jego pustoty i melancholji i tragizmu.

Niemniejszą znajomością rzeczy odznaczają się „Żaki“ (w. XVI), „Kamienica“ (w. XVII), „Matrona“, „Patrycjuszka“ i t. d. Pomimo ciągłego odwracania oczu ku przeszłości, Or-ot nie zaniedbał jednak struny lirycznej i w cyklach: „Dusza i Zmysły“ oraz „Pamiętnik“, dał nam wzory nowej fazy swoich wylewów.

„Dusza i Zmysły“ tem się różnią od innych liryk Or-ota, że tu każde uczucie jest podniesione o jedną albo dwie oktawy wyżej od zwykłego tonu: jest coś spazmatycznego w „Demonach“, w „Pieśni—męczeństwie“, w „Krzyku“; jest znowu głucha jakaś, niema prawie melodja w „Zniechęceniu“ i „Rezygnacji“.

Z wiersza „Pieśń — męczeństwo“ — napisanego pięknym, rozerwanym, prawie zgrzytliwym heksametrem, zacytuję parę wierszy, które nam wskazują, jak autor pojmuje swe powołanie pieśniarza:

„Ja wierzę w pieśni tych moc! Wiem, że jest śpiewać dla kogo:
Na świecie wiele łka serc, co wyznać bólów nie mogą.
Dla takich stroskanych serc, jak balsam pieśni są zdroje —
Więc inni cierpią jak ja! Oto łzy tu znajdują moje!..“

Takie oto umie rozdarte dźwięki wygłaszać Or-ot; ale umie też śpiewać pieściwie i melodyjnie, gdy trzeba:

„Z pod twych rączek, z pod twych białych, płynie piosnka w dal,
Coraz wolniej, coraz ciszej — niby łzy i żal
Anielskiemi westchnieniami skarżą się klawisze,
Płynie piosnka w dal miesięczną, rozpływa się w ciszę“.
(P i e ś ń C h o p i n a).

Brak mi tu miejsca na rozbieranie „Pamiętnika“, w którym autor zgromadził swoje najwewnętrzniejsze liryki, krystalizując tajniki serca w strofy nieraz doskonale zamknięte.

W obu tych cyklach, piewca miłości jest zarazem piewcą cierpienia i trzeba dodać, pogłębił on cierpienie i w istotę jego wniknął, jak w dziedzinę własną. Znaczny to krok w rozwoju od łagodnych, nieco zbyt warszawskich, wierszy pierwotnych Or-ota do subtelnego zrozumienia tajemniczych nieraz, dziwacznych i pełnych sprzeczności zjawisk ducha, jakie dziś obrazuje.

Pisząc niegdyś o Or-ocie, zaznaczyłem, że w większej części utwory jego są ł a d n e; tu mamy niemało takich, którym należy bezwzględnie przyznać, że są p i ę k n e.

Pięknym, a streszczającym naraz ideały przeszłościowe i tęsknoty miłosne poety, jest na zamknięcie tomu podany poemacik:

„Rym o wędrownym muzykusie“, pół-romanca, pół-rapsod, coś z epoki romantycznej, coś z trubadurów, coś z Béranger'a...

Całość daje wrażenie duszy życzliwej i sympatycznej, wrażliwej i czującej, niespokojnej i zbolałej. Pod względem artystycznym postęp widoczny i sądzić należy, że odtąd właśnie przedewszystkiem w kierunku sztuki czystej, rozwijać się powien talent Or-ota.

A. Lange.

Z drukarni W. A. Szyikowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.